

och. Wojciechowskiej Jadwigi, lat 23 - zawód Polak, maszynista

W dniu 13 kwietnia 1940 r. wraz z wielką ilością przeznaczonych, zostałam wywieziona z 79 letnim ojcem do północnego Kazachstanu, kolchoz Komuspai, rejon Koksztan.

Ludność kozacka, mój, nieprzedstawiającej wrażenia budynków - a tylko ohydnych lepiank, wioseczki, rzucanej na nagim stopie, przyszła nas z zdziwionymi i wylekionymi oczyma, - zrozumieli zapewne tragedję kilku przeznaczonych tam rodzin, w liczbie 30 osób, z których pierśi wyrwała się przegromna rozpacz, płacz dzieci, przerażenie matek. Każde z nas szukało drzewka, jakiegos oparcia wzroku, który do pięknych krajobrazów był tak przyzwyczajony, aby otrzasnąć się z ciężkiego pierwszego wrażenia. Ojciec moją przemoczoną ciężką trzech tygodniową podróżą, jakiś okłamany i biedny, pod wrażeniem ciężkiej rzeczywistości w bolesnym załamaniu padł na kolana i w rozpaczliwych słowach wyrażał słowa modlitwy, błaganie Boga o wytrwanie o miłość o zmiłowanie. W tych rozelkanych, bezładnie rzucanych słowach było tyle wiary tyle głębokiej wiary, której w naszych cercach brakło.

Konwojer, pod którego "opieką" przyjechalismy przedstawił nas "prezidentowi" kolchoza, któremu polecił dać nam zakwaterowania. Rozlokowano nas wśród strasznie brudnych kozackich rodzin. Było to okropne dla nas mieszkanie razem z trzodą koz i baranów w nieopisanym brudzie i patrzeć na sparszane od swierzby rece, każdego prawie mieszkańca.

Tegoż jeszcze dnia zebrano nas, zaprowadzono ewidencje, nauczyciel miejscowy przemówił do nas, - "w jak szczerliwie popadlismy życie wyzwoleni... uszczesliwieni... wysluchalismy cały szereg powtarzających się komunistycznych formulek, - następnie "prezident" uswiadomił nas o warunkach pracy o wielkim celu stachanowców i t.d. z wezwaniem byśmy następnego dnia stanęli do pracy, a jako początek przeznaczono nam do oczyszczania obor kolchoznych.

Poszlismy do pracy. Oczyszczanie obor trwało kilkanaście dni następnie polecono nam robić z gliny cegły na budowę dla nas chaty, ponieważ wkrótce musimy opuścić przeznaczone nam kwatery. Ciężka praca przy kopaniu gliny, mieszaniu jej z wodą i słomą, zajęła nam dwa miesiące czasu, - ja jednak nie wytrzymałam, zachorowałam bardzo ciężko. W ciągu jednego tygodnia leżałam z wysoką temperaturą dosłownie w oborze razem z kozami i baranami, po długich rozpaczliwych błaganiach mego ojca, odwieziono mnie do szpitala w mieście, gdzie pozostałam cztery tygodnie.

Po powrocie do kolchozu zostałam wezwana przez naczelnika NKWD, który zaskoczony moim wyglądem i może trochę wzruszony starością mego ojca, pozwolił mi zamieszkać w mieście z tym, że przyjmie każdą pracę. Wówczas to otrzymałam pierwszą wiadomość od rodziny z zapewnieniem, że otrzymam choć skromną pomoc materialną.

Wówczas opuściłam kolchoz i z ojcem zamieszkałam czasowo z jedną panią Polką, która pracowała w szkole, w charakterze nauczycielki języka niemieckiego. Zajęłam się jej dwojgiem małych dzieci i prowadziłam skromne nasze gospodarstwo. Po pewnym czasie ze względu na ciągły zły stan zdrowia mego ojca, a wraz z tym wyłaniające się przykrości wspólnego, a krepującego życia w jednej małej chatce, postanowiłam za wszelką cenę znaleźć taką pracę, która by zapewniła jakikolwiek kąt mieszkaniowy, byle byc tylko jednej z moim biednym, bardzo wrażliwym na każde przykrości, ojcem. Zaczęły się dla mnie nie lekkie dni, raz z chaty znaleźć nie mogłam, ale też i o pracę było trudno.

Po pewnym czasie dowiedziałam się, że w szkole potrzebna jest uborszczyca; dla której przeznaczona jest chata, światło i opał, tak bardzo drogi. Uchwyciłam się tej myśli, by dostać taką pracę, zwróciłam się więc do tej szkoły, gdzie spotkała mnie rzecz nieopisana. - Dzieci tejże szkoły, gdy zobaczyły mnie, jakby na rozkaz rzuciły się do mnie z okropnymi wyzwiskami na Polaków, jedne cisnęły się do mnie rwały za palto, popychały, inne chwytaly za rozgrezkie wówczas błoto rzucały we mnie ze wszystkich stron, w twarz oczy, - brudziły ubranie. Z wrażenia, jakie mnie ogarnęło, nie byłam w stanie, aby wyjść lub iść naprzód, ponieważ tłok był okropny. Dyżurna nauczycielka nie zdołała opanować tak okropnie na tawionej hołoty, do chwili aż dyrektor szkoły zarządził koniec przerwy i oswobodził mnie, lecz reakcja dla mnie była tak ciężka, że dostałam wstrząsu wewnętrznego i bolesnego płaczu, w następstwie czego lekałam się każdej spotykanej grupki zebranych dzieci o tak beznadziejnym wychowaniu.

W kilka dni później zaoferowano mi pracę uborszczycy w klubie miejskim, która chętnie przyjąłam, zapewniła mi bowiem kąt mieszkaniowy światło i opał. To wyzwoliło mnie z dreczącego stanu mieszkaniowego, to też z radością przenieslismy się do swobodnej chatki, gdzie chory mój ojciec mógł swobodnie leżeć.

Każdotygodniowe mycie osmiu w elkich podłog, palenie miałem węgielnym osmiu olbrzymich pieców, czyszczenie ustępów i robienie bielienia, poza tym roznoszenie roznych pism, wypełniało nie tylko każdą godzinę, ale i minuty dnia, nie zrażałam się tym jednak, bo widziałam dobre samopoczucie ojca i mogłam swobodnie odpocząć po pracy.

Widziano znowu mnie sprzatająca i przyjmująca ubrania "tancujących" w klubie, wpatrywały się nieraz podle bezlitosne oczy kozaka enkawededzisty - pytano niekiedy zastrzeżeniem, - co tu robi Polka - przypatrywali się, obserwowali. I tak np. czwartego wieczoru, gdy przyjechałam na noc 8 osob z b. mojego kolchozu, przez tego pozwoliłam ogrzać się w chacie rosjaninowi kolchoznikowi czekającemu na odjazd tegoż wieczora, w bardzo poznej godzinie, gdy już drzwi miałam zamknięte i ułożyłam da smu meich znajomych, przeraziło nas gwałtowne a znane już burzenie do okna. Zerwalismy się wszyscy, wiedziałam bowiem o zakazie nocowania kogokolwiek, grozaczemu zapłaceniem wysokiej grzywny obu stron, zaniepokoiło mnie to, burzenie powtarzało się ciągle i krzyk "otkrywaj dziury", zmusił mnie, że otworzyć musiałam. Wszedł kozak z NKWD, który natychmiast zwrocił się do mnie, abym natychmiast ubierała się i poszła z nim. Byłam tak zdenerwowana, że nie potrafiłam wydobyć z siebie ani jednego słowa, trzęsłam się cała, znajomi moi patrzyli bezradnie a ojciec moj zrospaczony błagał go, by nie aresztował mnie, prosił, ażeby rano przyszedł w tej sprawie, nie pomogło to jednak, widziałam tylko, że podle ślepią i wstretny wyraz twarzy, nie ulegają zmianie, że widzi tylko mnie i ponagla ordynarnie bez konca. Gdy ojciec płakał jak dziecko, a i znajomi prosić go zaczęli, by mnie zwolnił, względnie, by ze mną pojsc mogli, wykrzywił się zlosliwie i burknął w kierunku mego ojca, - "nie puhajsa staryk, docz wierniotsa", a mnie pchnął obelżywie i znowu wycedił przez zęby, Bodziewajsa skarej, cztoz zdał ciebia budu", Narzuciłam płaszcz na białe nocne, uspokoiłam ojca i wyszłam jak automat. Ogarnięta chłodem szła z tepym uczuciem wśród mroków czarnej listopadowej nocy, nie widząc nic przed sobą, z trudem wyrывая nogi wpadające w głąb rozgryzłej drogi. Za mną szedł enkawededzista, bez konca wygadywał obelżywe słowa, groząc wyrzuceniem na kolchoz, - tak doszłam do NKWD, jakoby do naczelnika.

Na miejscu stwierdziłam, że wszystkie drzwi były pozamykane, wszędzie panowała noc, tylko jedna lampka elektryczna oświetlała długi korytarz, poza tym nie zauważyłam żadnego stróża, ani dyżurnego. Enkawededzista kazał mi zatrzymać się w ciemnym kacie, sam przeszedł się przez korytarz, postukał w niektóre drzwi, wrocił się natychmiast do mnie i oznajmił, że "naczelnik już uszół" i zaczął zbliżać się do mnie z haniebnymi odruchami, powtarzając, bym nie bała się, i jak będę dobrze z nim żyła, będę miała wszystko w oskarżenia, jakie ma na mnie nie złożyć do naczelnika, Zaznaczył przy tym, że on śledzi polki i może wszystko powiedzieć, a naczelnik uwierzy. Oburzyło mnie to okropnie, to też jak tylko mogłam głośno zawołałam, by mi natychmiast pozwolił iść do naczelnika, że nie on mnie, a ja jego zaprowadzę. I natychmiast odruchowo wybiegłam z budynku. Następnego dnia złożyłam meldunek naczelnikowi NKWD. - kozaka więcej nie widziałam w mieście.

I tak przetrwałam na tym stanowisku rok i trzy miesiące, zniosłam wiele podobnych przykrości, coraz to większego wymagania, a w szczególności przesładowano mnie ciągle za odwiedzające mnie rodziny polskie, posadzano, że z nimi dzieje się opałem i naftą, - istotnie, ile tylko mi się dało drzewo i węgiel roznosiłam dla wielu rodzin. Poza tym nasłuchiłam się urządzanych w klubie, lekcyj politycznych, przedstawien, w treści których wysmiewano i wyzywano oficerów Polskich, ohydnie przedstawiano inteligencję polską, podkreślano "ciemnotę i niedzę" robotniczego i wiejskiego narodu polskiego. Niekiedy w unięsieniu zaprzeczałam kłamliwoci tak podle propagandy, wówczas zwracano mi uwagę, że złożyć na mnie meldunek do NKWD.

W lutym 1942 r. po krótkiej chorobie, zmarł mój ojciec. Trzy dni szukałam w całym miasteczku kawałka deski, aby trumnę zrobić, - to było ostatnie życzenie ojca, bym go w trumnie pochować mogła. Niestety, w żadnym składzie nie znalazłam, wobec czego zmuszona byłam nocą rozbić płot niedaleko stojący, w czym dopomogli mi dobrzy dla Polaków, tatarzy. Miałam już trumnę, gdy znowu do wykopania grobu przy temperaturze 46°C nie znalazłam, - jeden z robotników, który decydował się kopac, zarządził 300 rb., gdy ja posiadałam wówczas zaledwie piętnaście rubli, do sprzedaży, żadnych rzeczy nie miałam, gdyż w między czasie, kiedy chory ojciec zasnął, a mnie nie było, okradziono nas dosłownie, - to też, w wielkim zalamaniu psychicznym, z łopata i kilofem udałam się na cmentarz, aby wykopać dok. Chwili tej nie zapomnę nigdy, gdyż ból i rozgoryczenie było zbyt wielkie. - W połowie mej pracy, zwróciła na mnie uwagę pluton ćwiczących się bolszewików. Dowodzący plutonem, po krótkiej rozmowie ze mną, może wzruszony moją sytuacją, polecił dwóm żołnierzom, by mi pomogli pogłębić dol, na czym mi tak zależało, aby z tych nor bolszewickiego cmentarza, nie zostały wygrzebane kości mego ojca. Byłam jemu wdzięczna za to, gdyż tego jeszcze dnia pochowałam zwłoki ojca, przy pomocy tychże żołnierzy i kilku pan, Polek.

W trzy dni później, t.j. 27 lutego 1942 r. otrzymałam pierwszą zawiadomienie wiadomość i pomoc materialną od kuzyna mego płk. Bolesławicza, a w trzy tygodnie później telegram wyzywający do Armii Polskiej.

Głęboko wzruszona i pełna radości opuściłam miasto Koksze-
tau, a wraz z tym odeszłam od ciężkiego stanu psychicznego,
w jakim pozostawałam. Po dwu tygodniowej podróży znalazłam się
w Sztabie Armii Polskiej w Jangi-Julu, gdzie zostałam przyjęta
w szeregi ochotniczek P.S.K.

Kojec chowska
Zadwiga